

maty TYGODNIK

Rok V

Gorzów Wlkp., dnia 20 sierpnia 1950 r.

Nr 27



Odwiedziny dzieci w domku nazaretańskim

Święto Matki Boskiej Zielnej

Uroczystość Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny, która przypada w dniu 15 sierpnia, znana jest w Polsce powszechnie jako dzień Matki Boskiej Zielnej. Historycznie da się stwierdzić, że cesarz Maurycy polecił obchodzić to święto w całym swym państwie na Wschodzie przy końcu VI wieku. Z tradycji natomiast wiadomo, że od niepamiętnych czasów Matka Boża była czczona jako Istota najwyższa z ludzi, której ciało wraz z duszą połączyło się po śmierci w niebie.

Co do miejsca śmierci i grobu Matki Najświętszej jedni uczeni twierdzą, że pod miastem Efer, gdzie najpierwsze wykopaliska stwierdzają istnienie domku, w którym do śmierci Matka Najświętsza mieszkała. Tak samo też i co do wieku spierają się uczeni, jedni twierdzą, że śmierć Marii nastąpiła w 59 roku życia, inni że w 65, a jeszcze inni twierdzą, iż w 71 roku życia.

Kościół katolicki ma prawa święta ustanawiać, jak też je i znosić i na miejsce starych, nowe wprowadzać. Ustanowił też i święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii

Panny, pogłębiając tym powszechną wiarę ludzi iż niemożliwym jest dopuścić, by Ta, co piastowała Syna Bożego, nie królowała z Nim razem z Ciałem w niebie i czekała jak zwykli grzesznicy Sądu Ostatecznego.

W Polsce, jak wszystkie święta Marii, tak i to ma swoją szczególniejszą szatę. Katolicy polski w maju kwiatami przybiera Jej obrazy i zdobi figury przydrożne. Na dzień Wniebowzięcia zbiera z pola kwiaty dziko rosnące, kłosa zboża, najładniejsze maku główki w jeden bukiet przybrany wstążeczkami, niesie do kościoła, gdzie poświęcone zanosi następnie do chat, zatykając je za obrazy.

Dlatego nazywa się to świętem Matki Boskiej Zielnej. Jest w tej pamiątce coś rozrzucającego i zarazem budującego. Całą bowiem nadzieję z pracy i potu pocztą, jako ziele niesie przed sobą w spracowanych dłoniach pobożny katolik i tam łączy zapach ziół z własną, szczerą modlitwą. To zestawienie kwiatów i modlitwy jest prawdziwie rzewne. Zarazem zbudować może się każdy, kto głębiej i poważniej myśli, tym zwyczajem.

J. St.



Zdjęcie dla Małego Tygodnika
od Janki Stankiewiczówny.

Sumienoy Ignaś

Na podwórzu przed domem Ignaś bawił się piłką, gdy któryś z sąsiadów, przechodząc, prosił go, aby wybiegł na pagórek i uwiadomił go zaraz, skoro zobaczy nadejeżdżającą pocztę. Ignaś, uprzejmie i grzeczne dziecko, przyrzekł sąsiadowi, że mu zrobi tę przysługę.

Jakoż zaraz pobiegł na wzgórek, skąd widok daleko sięgał na gościniec. Już tam czekał dość długo, gdy inny chłopczyk przyszedł doń i namawiał go, aby poszli ryby łowić na wędkę. Lecz Ignaś, chociaż bardzo lubił tę rozrywkę, musiał odmówić, ponieważ dał słowo sąsiadowi.

— I długo tu będziesz stał na słońcu? — mówił nowoprzybyły chłopczyk.

— Dopóki poczta nie nadejdzie! — odrzekł Ignaś.

— Pójdź ze mną lepiej; wszak dosyć długo tu czekasz.

Ale Ignaś nie dał się namówić, pamiętając na słowa, które mu ojciec często powtarzał, że uczciwy człowiek zawsze powinien słowa dotrzymać. Dlatego, choć mu upał słoneczny dokuczał, nie ruszył się z miejsca, aż mógł sąsiada uwiadomić o zbliżającej się poczcie.

Dzieci! Czybyście tak samo postąpili?

Serdeczne życzenia

Były czasy, w których wolno było dzieciom przystępować do Komunii św. dopiero po skończeniu 12 względnie 13 lat.

Na szczęście czasy te już minęły,

A zawdzięczamy to na pierwszym miejscu dobrotliwej, która dała światu pobożnego kapłana. Został on później Ojcem św. Był nim papież Pius X.

Kiedy został więc wybrany na najwyższego kapłana natychmiast postarał się całemu światu obwieścić to co już dawno chował w pobożnym swoim sercu:

I dzieci, które tyle lat mając, co wy obecnie, albo są jeszcze od was młodsze, winne przyjmować do serca kochanego Zbawiciela w Komunii św. Jeden tylko jest warunek, że muszą w Niego wierzyć i kochać Go.

I jeszcze coś leżało Ojcu św. na sercu.

Nie tylko dzieci, ale i dorośli powinni często przystępować do Komunii św. Im częściej, tym lepiej. A o ile możliwości nawet codziennie.

Z tego więc powodu Ojciec św. nakazał Komunię św. codzienną.

Kiedy swoje życzenie obwieścił całemu światu wielu ludzi bardzo się ucieszyło.

I teraz wiecie, drogie dzieci, dlaczego codziennie w wielkich miastach i w małych wioskach dziatwa i dorośli, młodzi i starzy, tak często przystępują do Stół Pańskiego, przyjmując do serca ukochanego Zbawiciela.

O tak, Boski Zbawca bardzo chętnie do niego przychodzi.

Pewien pobożny kapłan powiedział, że każda Komunia św., którą ludzie godnie przyjmują do serca sprawia Zbawicielowi serdeczną radość.

I Pan Jezus sam powiedział, że przyjemność sprawia Mu obcowanie z dziećmi ludzkimi.

Jasne jest, że o ile będzie przebywał w sercu naszym, wówczas będzie łatwiej z nami obcował i z nami ściśle się jednoczył.

Czy nie tak, dzieci?

K. O.

Beata Słuszkiewicz.

Jabłka Adama

— A łobuzy jedno! Nareszcie was mam!

W ciszy nocnej otaczającej podmiejski sad, głos Szymona zabrzmiał jak dzwon alarmowy. Równocześnie dwa cienie oderwały się od ziemi i pomknęły chyżo w stronę wysokiego ogrodzenia.

Cień większy już dotarł płotu i znikł za oderwaną deską, gdy mniejszy na krótkich nogach jedenastoletniego chłopca, miał jeszcze daleko do zbawczej szczeliny. Wystarczył jeden dłuższy krok i twarda ręka sadownika schwyciła uciekającego.

Teraz dyszą obaj z wysiłku i wruszenia.

— Niech mnie pan puści! Edek ratuj!

Mały przestępca na próżno szarpał się i wyrwał. Towarzysz ani myślał narażać skórę na słuszny gniew Szymona i zapadł gdzieś w ciemnościach, zadowolony, że niebezpieczna wyprawa tak szczęśliwie się dla niego skończyła.

Sadownik ze swej strony ani myślał puścić zdobyczy.

— Aha! Widzisz, draniu, że cię złapałem!

— wykrzykiwał podniecony. — Chodź, chodź! Zobaczmy razem ileś to jabłek chciał wynieść. Boże jedyny! Cały worek?! No, widział to kto... Przecież to będzie ze dwadzieścia kilo! — Słuchaj, mały, który ty raz tu jesteś?

— Pierwszy...

— Pierwszy? A ja już od paru dni widzę, że mi się tu ktoś dobiera.

— To nie ja! Edek mnie dopiero dziś namówił...

— A więc tak... Namówił... I nie wstyd ci było kraść? I właściwie coście chcieli z tymi jabłkami zrobić?

— On mówił, że schowamy na zimę — wyznał z westchnieniem nieszczęśliwy współnik Edka. Sam na sam z groźnym Szymonem wobec tak oczywistego dowodu winy, jak rozsypane w trawie jabłka, niewiele brakowało, a byłby się rozplakał. Dobrze, że następne pytanie brzmiało trochę łagodniej.

— Jakże ty się nazywasz, pędraku?

— Adaś.

— Adaś..., wiadomo. Adam musi mieć słabość do jabłek. No, bierz ten worek; miałeś go już na plecach, więc i teraz uniesiesz. Złożymy wszystko do składu.

Poszli duży Szymon i mały Adaś, postępując cicho z pod wypchanego worka. Jakżeż mu się droga dłużyła! W końcu skrzypnęły drzwi szopy, zabłysło światło i oczom chłopca ukazały się półki i kosze pełne owoców. Wspaniałe gruszki i jabłka mieniły się złotem i czerwienią i pachniały tak smakowicie, że aż ślinka do ust napływała.

Adaś pod kierunkiem sadownika układał wyjęte z worka sztetyny i renety* i tak się tym zajął, że zapomniał o czekającej go — jak przypuszczał — karze. Gdy skończył, Szymon spojrzał na niego bystro.

(Dokończenie na str. 104)

Z pastuszka trzody – kazańdzieja

Słowa: „Wadowice szczytą się mądrym Wadowitą“ są wyjęte z popularnego wiersza, na cześć miasteczek należących do dawnego księstwa Oświęcimskiego. O tym też Wadowicie Czytelnicy przyjmijcie słów parę.

Było to w roku 1548, akurat czterysta lat temu. Rzecz działa się na miejscu, gdzie dziś znajduje się czystutkie, powiatowe miasteczko Wadowice.

O pięknej porze wiosennego poranku, na skraju lasu, nad wijącą się zygzakami rzeką Skawą, pasł bydlatka, wraz z trzodą chlewną młodziutki, może dziesięcioletni pastuszek, imieniem Marcinek, który, odszedłszy kilkanaście kroków do krzaków, zaczął wyśpiewywać po swojemu:

Wiele wietrzyk wieje, jasne słonko świta,
krakowiaczek ci ja, Marcin Wadowita!

Rozglądnawszy się po świetle, poweselał, trzasnął z bicia i zaśpiewał:

Przeleciał ci chyżo, wody się nie napił,
trzymajże się razem, ty przebrzydła trzodo!
Przeleciał ci hyżo, wody się nie napił,
dam ja ci pstrokaczu, byłem cię przycapił!

I naprawdę uderzył batem pstrokacza najniesforniejszego z trzody, który mu już zginął kilka razy.

Po chwili, gdy zwierzęta wszystkie razem pasły się na łące, Marcinek usiadł na wzgórku i jął wyśpiewywać po swojemu, spoglądając więcej w błękit nieba niż na trzodę. Tak zapałtrzony, nie spostrzegł nawet, jak na pobliskiej polnej drodze ukazał się piękny powóz, zaprzężony w dwa piękne kasztany. W powozie tym jechało dwóch panów, jeden z nich tłumił stąpanie koni wlokących się noga za nogą. Marcinek śpiewał dalej:

Siadła biała chmura, na Mariackiej wieży,
a niebieskie niebo, na tej chmurze leży!

Panowie jadący w powozie usłyszeli te śpiewki i mimowoli spojrzeli w stronę Krakowa, gdzie istotnie obłoki ułożyły się według opisu pastuszka.

Uciekajcie ptaki, uciekajcie żywo,

bo się jastrząb zbójnik waży ponad niwą!

Panowie spojrzeli w górę i ujrzeli jastrzębia w powietrzu.

— Ten chłopak śpiewa to co widzi, — odezwał się jeden do drugiego.

— Ha, odrzekł drugi, — dopiero niedawno zabrał nam Pan Bóg naszego dzielnego poetę Jana z Czarnolesia, to może drugiego w tym mizernym pastuszkę gotuje.

Oj, nie mam ja strzały posłać zbójnikowi, już po tobie ptaszę, już cię jastrząb złowi! śpiewał Marcinek żalonym głosem.

— Chodźmy pogadać z tym małym, odezwał się jeden do drugiego — i wysiedli obaj z powozu, zbliżając się powoli ku pastuszkowi.

Pochwała Marii

Jak kwiat Boży,
co wonieje
poprzez dzieje.

Jak obłoczek
co się wspina
na wyżyny.

Jak szum leśny,
gędzba gwarna
i mocarna.

Jak słowika
tęskne tony,
w nocne struny.

Jak dzwonienie
w mgłach poranka
na hosanna.

Jak Ofiara
na ołtarzach,
gdy Pan każe.

Jak łez strumień,
co oplacze
brzeg przeznaczeń.

Jak Ksiąg Świętych,
modły w ciszy,
gdzie Pan słyszy...

.....
Tak nam Ona
zamodlona
nieskończenie.

Życia księga
Jej — zamknięta;
Wywyższona.

Niebu dana —
na kolanach
w Niebo wzięta.

**O. Marek Pocięcha,
Bernardyn.**



O. Marek Pociecha, Bernardyn.

Rozmowa z Marią

Twe Imię chwałą pieśniarze
i modre mają noce
i ten najmiłszy ołtarz
rączek sierocych.

Twe Imię nosi w swej piersi,
gdy ból kolana zgina...
przecież Ty z matek najpierwsza
straciłaś Syna.

Gdy gwiazdy wszystkie pogasną
na niebie mych udręceń,
Ty jesteś świętym hasłem
z wszystkich najświętszym.

Na białych skrzydłach dobroci
w odzieży, co nie świeci,
idziesz wciąż czuła i prosta
do prostych dzieci.

Najwyższą moją radością
nie wino z Twego dzbana,
ale Twój uśmiech miłosny,
ten goi rany.

Byle byś tylko usiadła
na przyzbie mego domu,
już bym się wilków stada
nie bał, ni gromów!

Codzień bym Tobie się, Mario,
z moich zamierzeń zwierzał
Tu — w naszych sercach zrodzona
słodkimi, prostymi słowy
mego pacierza.

z łez naszych dziś poczęta —
nasza i tylko wciąż nasza
choć Wniebowzięta!

— Chłopcze, kto cię tak nauczył śpiewać?
— zagadnął jeden z panów przestraszonego
pastuszka. Lecz Marcinek nic nie odpowie-
dział, tylko odwrócił głowę i otworzył usta
z podziwu.

— Masz ty ochotę uczyć się na książce?
— pytał pan dalej.

Chłopiec wciąż milczał, coraz bardziej
spuszczając głowę.

— Jakbyś się uczył, mógłbyś zostać księ-
dzem.

— Kazania gadać! — krzyknął na te sło-
wa Marcinek.

— Tak, tak i kazania prawić, ale naj-
pierw trzeba się uczyć, jeżeli chcesz tego,
to jedź z nami do Krakowa.

— E, a kóżby tu ojcu pasał...

— A to ja paś całe życie, próżniaku! —
zawołał pan surowo. Ale, jeżelibyś kiedyś
zapraagnął nauki, to przyjedź do Krakowa
i pytaj się o pana Sebastiana — dodał
drugi.

Powóz oddalił się, a Marcinek długo pa-
trzał za nim, a potem przeniósł oczy na Ma-
riacką wieżę, i dumiał jak pierwej.

Nagle ozwał się ryk przeraźliwy, chłopak
spojrzał i krzyknął z przerażenia, bo oto
już wilk ciągnął pod las niesfornego pstro-
kacza. Trzoda zaś przerażona pierzchła w
różne strony. Marcinek rzucił się w pogoń
za wilkiem ale na próżno, bo las był wielki
i gęsty. Wróciwszy na pastwisko nie zastał
już śladu po rozbiegłej trzodzie.

Zrozpaczony chwycił się rękami za głowę
a wzrok jego padł przypadkowo na wieżę
kościół Mariackiego. Bał się srogiej kary
ojcowskiej. Nie miał odwagi wrócić do do-
mu. Przypomniały mu się słowa dobroci
pełne dobrych panów z Krakowa i jak był,
boso w potarganych porciętach i w takiejże
kapocie, poszedł pieszo, pytając się w Kra-
kowie o pana Sebastiana.

* * *

Mineło lat kilkanaście. Mały Marcinek
wyrósł na Marcina zwanego Wadowitą i za-
słynął w Akademii Krakowskiej jako uczo-
ny. Na koniec został proboszczem w parafii
św. Floriana na Kleparzu. Dla zasług swych
zawsze wesołego humoru, był w całym Kra-
kowie znany i lubiany.

Spełniły się pragnienia jego dzieciństwa,
bo został księdzem, miewał wspaniałe ka-
zania. Poetą nie był, ale umiał mówić i od-
powiadać wierszem gdy go o co pytano.

Pochodzenia swego nie wstydził się, ani
go nie ukrywał, przeciwnie, gdy chwalono
jego wysoką wiedzę, mówił często przypo-
minając zdarzenie z lat dziecięcych „gdyby
nie wieprzek, nie byłby Wadowitą uczo-
nym”.

Umarł w roku 1644 bardzo — żalowany
przez wszystkich.

W jego zaś rodzinnej miejscowości Wado-
wicach pamięć o tym wielkim człowieku
będzie wlecznotrwała. Na pamiątkę zaś jest
tu gimnazjum państwowe i ulica im Mar-
cina Wadowity.

St. J.

JABŁKO ADAMA

(Dokończenie ze str. 101)

— Bardzo zręcznie do tego się bierzesz, mój mały. W ogóle wyglądasz na porządnego chłopca. Ze tak daleś się namówić?

Gdybyś wiedział ile się muszę napracować zanim te drzewka dadzą owoc! Od wczesnej wiosny cały dzień im poświęcam. A tu przychodzi taki Edek, jak ten wąż z raju skusi młodszego do grzechu i w jedną noc bez wielkiej pracy nabierze sobie, ile mu się podoba. Powiedz sam, czy to sprawiedliwie?

Zmarszczone czoło i wysunięty koniuszek języka dowodziły, że Adaś myślał głęboko.

— Nnnie... — zadecydował w końcu. To niesłuszne. Edek mnie zbujał. Więc bardzo pana przepraszam i już nigdy więcej... mimo, że tak bardzo lubię jabłka.

Wzruszył się Szymon skrucą Adasia i ażeby pocieszyć nawróconego winowajcę, podarował mu kilka soczystych jabłek.

Zostali przyjaciółmi.

I nawet zrobili umowę, z której Adaś jest niesłychanie dumny. Oto co dzień po lekcjach Adaś przychodzi do sadownika i razem przebierają i sortują jabłka. Niektóre pakują w skrzynie i wysyłają do różnych sklepów spożywczych, bo Szymon jest członkiem Spółdzielni Spożywców i ma swój cały zbiór owoców z góry zakontraktowany. A że owoców jest bardzo dużo, więc jeszcze długo Adaś będzie miał zajęcie i — co dzień dwie ulubione sztety w nagrodę. Smakują mu tak jak żadne jabłka na świecie. Może dlatego, że są uczciwie zapracowane, a nie zdobyte podstępem.

Beata Słuszkiewicz.

Halela

Halela, gąski, halela!
Na łączce macie dość ziela,
a tam w dolinie
strumyczek płynie,
możecie napić się wody — halela!

Halela, gąski, halela!
Co jeszcze mnie rozwesela:
piosenkę śpiewanie,
albo czytanie
bajek z tej ślicznej książeczki — halela!

Halela, gąski, halela!
W lesie gra ptaszka kapela,
i mnie wesoło —
hej, kwiaty wkoło!
uwiję sobie wianuszek — halela!

Halela, gąski, halela!
Jutro już będzie niedziela,
gdy dzwon z kościoła
ludzi zawoła,
pójdę ja także z matusią — halela!

Halela, gąski, halela!
Na dzisiaj macie dość ziela,
kończy się dzionek,
milknij skowronek,
trzeba już wracać do domu — halela!

M. Ch. S.



Rzeczy ciekawe

Nasze ryby: węgorze i łososie.

Węgorze lęgną się w morzu. Młode wpływają do rzek, tu dorastają i dopiero zupełnie już dojrzałe znów wracają do morza. Przeciwnie łososie. Te składają ikrę i lęgną się wysoko w górskich strumieniach, zaś młodość spędzają w morzu. Dorosłe płyną znowu do górskich strumieni, tam, gdzie się urodziły. Z niebywałą wytrzymałością płyną pod prąd i z uporem przeskakują wodospady, które w młodości z łatwością przebywały, wędrując z prądem wody ku morzu.



Kochane Dzieci! W jednym z numerów lipcowych Małego Tygodnika obiecałem podać imiona niektórych dzieci z Naszej Rodzinki, co złożyły mi wizytę w redakcji. Były to Tosia i Jolcia, Aneczka, Henia, Jurek i Michaś. Skorzystały z zaproszenia „na herbatkę”. Mieliśmy bowiem ważne rzeczy do omówienia. I muszę wam powiedzieć, że na tej „herbatce” bez herbatki zaprojektowaliśmy urządzać „wielką” wycieczkę do Polczyna-Zdroju. Słowa nie poszły w las. Dzieci zebrały się w wyznaczonym dniu na dworcu i pod opieką p. Teresy M., Walerii S., Marii K. oraz p. Mariana M. wyruszyły na wyprawę po Pomorzu Zachodnim. Ponieważ wiecie, że bez swej Rodzinki Przyjacieli wasz życie nie umie i ja zostawiłem duszną redakcję, zamknąwszy starannie na klucz wszystkie od was otrzymane listy i wyruszyłem w nieznane. Na dworcu było przy pożegnaniu trochę łez. Mamusie dawały swoim pieszczochom serdeczne upomnienia, a tatusiowie energiczne wskazówki. Kiedy jednak dzieci znalazły się już w rozdygotanym pociągu nie wiem czy jeszcze pamiętały o rodzicielskich przestrożkach. Szybko otarły łzy i otworzyły ciężkie teczeki. Teraz nastąpiło radosne raczenie się śliwkami, jabłkami, pączkami, cukierkami. Apetyt był wspaniały i zadziwiający. Żał mi tylko ogarniał, że Rodzinka Nasza szybko musiała pakować swoje obfite magazyny w Krzyżu, Pile i Grzmiącej, bo



Pozdrowienia z Obry
od Tereni Wróblewskiej

przewodnicy w tych miejscowościach zaczęli krzyżeć „przesiadka”. Oczywiście przesiadki nie były dla mnie bardzo przyjemne. Bo kiedy już się z dziećmi naśpiewałem i naśmiałem, a nawet ich przysmakami objadłem przychodziła kolej na dźwiganie największych walizek i teczek. Np. Ireczka była najmniejsza, a za to spiżarnię w teczce miała bardzo solidną. Jolcia znów wiele utrudzenia miała z kocem i poduszką.

Wreszcie przybyliśmy do tego Polczyna-Zdroju. Szczęście że po drodze spotkaliśmy wracającą z Częstochowy pielgrzymkę. Ku uciesze naszej dowiedzieliśmy się, że to z Polczyna-Zdroju. Jechaliśmy teraz już na pewniaka, choć stłoczeni, spoceni i zmęczeni.

Połczyn odrazu przypadł nam do serca. Jest ładnym miasteczkiem, słynnym z sanatoriów kurujących ludzi borowiną. Okolica sfalowana, otoczona bujną zielenią. Ulice schludne, niektóre asfaltowe. Dzieci wszystkiemu ciekawie się przyglądają. Największą sensację budzi jednak miejsce wypoczynkowe tj. klasztor SS. Salezjanek

Ile to hałasu. Biegną na sypialnię, zaglądają na salę wykładową, przyklekają w kapliczce. Biedne siostry z radosnym żalem patrzą jak Rodzinka Nasza wypędza z ich domu klasztorną ciszę. Dopiero wróciła ona w mury Bożego Domu w późnych godzinach nocy. Nazajutrz dzieci biegną do kościoła na Mszę św. słuchając specjalnego dla nich kazania, potem śniadanie, a potem och, to coś pięknego — zwiedzanie parku Zdrojowego. Czyściutkie ganki, bujna zieleń, wspaniałe klomby, tarasy ukwiecone, stawki pokryte ślicznymi wodnymi kwiatami, jest muszla koncertowa, wodospad, jezioro, basen, malowniczo sfalowane widoki. A wśród zieleni pomysłowo urządzone ławeczki prawie że na każdym kroku. Tyle było dziwów, tyle radości że zszapany, umęczony i spocony wróciłem na obiad, który nawiasem muszę powiedzieć bardzo nam wszystkim smakował. Po obiedzie jednak musiałem moje grono zostawić. Z żalem oczywiście, bo urlopu nie miałem, a trzeba było wrócić do redakcji. Dyskretnie więc dzieci zostawiłem przy obiedzie z obietnicą rychłego powrotu.

Droga Rodzinko! Proszę przyjąć garść tych wiadomości ku waszej radości napisanych. Następnym razem będą już listy od uczestników. A teraz żegnam serdecznie pozdrawiając i życząc miłych i serdecznych wakacji. Pamiętajcie o konkursie wakacyjnym. Czekam na wasze listy i fotografie.

Wasz Przyjaciół.



**Część uczestników wycieczki
w Parku Zdrojowym w Połczynie Zdroju**

Kłosy

Spod czarnej gleby rośnym świtem
pszenne kłosy dziwne szepcą ziemi —
w blasku zórz, malowane złotem
są jakby morskimi falami.

Każdy kłos słońcu w pas się kłania
za bujne, rozrodzce życie,
za złoto blasków i półcienie
w miodnym zbóż okwiecie.

W melodii sierpów szepty tajemne
płyną łanami przez długie godziny —
kłosne wołanie ciche i pieściwe
ostatnie niesie dziwy.

Potem cisza zmierzchem dzwoni,
przez puste błądzi ścierniska,
i w słońcu co tak blado płonie
jesień zagląda z bliska.

Maria Dzierżyńska.

Nasza Rodzinka na wycieczce w Połczynie Zdroju. Zdjęcie dokonane przed kościołem.